

ALEKSANDER
ŚWIĘTOCHOWSKI

DAMIAN CAPENKO

Aleksander Świętochowski
Damian Capenko

«Public Domain»

Świętochowski A.

Damian Capenko / A. Świętochowski — «Public Domain»,

Kiedy celnik i przemysłnik konkurują o rękę jednej i tej samej panny, to wiadomo że mogą z tego wyniknąć kłopoty. Obydwaj zakochani i w miłości zdesperowani — atmosfera z każdym wersem robi się coraz gęstsza. W przygranicznym miasteczku powoli rozgrywa się miłosny dramat, który wkrótce może doprowadzić do prawdziwej tragedii. Na podziały stanowe nakłada się także inny konflikt — bo przemysłnik jest tutejszy, a pogranicznik z Podola. Jest więc też dodatkowy konflikt na linii swój–obcy. Opowiadanie interesujące także ze względu na uwagi językowe. Dziś, kiedy zglajchszaltowaliśmy wszystkie narzecza, dialekty i regionalizmy, tęsknimy za ich bezpowrotnie utraconym bogactwem. A Świętochowski mógł jeszcze napisać, że bohater „sam żadnym językiem dobrze nie władał”. Aleksander Świętochowski był wpływowym przedstawicielem postępowej inteligencji warszawskiej końca XIX wieku. Jego esej *Praca u podstaw* był jednym z fundamentów, na którym kształtował się pozytywistyczny system wartości.

Aleksander Świętochowski

Damian Capenko

Z Łuby, kamienieckiego powiatu, podolskiej gubernii, pogranicznej straży, zawichostskiej brygady, trzeciej rot, pierwszego oddziału gefreiter – tak się w urzędowym stylu rekomendował jednym tchem Damian Capenko. Pytany wszakże prywatnie, odpowiadał krótko: Małoros. Właściwie, objaśnienie to było zbytecznym, bo gdyby nawet czarne, rozmarzone oczy, śniada twarz i w wyraz smutnej łagodności ułożone usta nie uprzedzały o pochodzeniu Capenki, to sama jego pieszczonemi brzmieniami śpiewająca mowa zaraz by je zdradziła. Mowa ta, przez lingwinistów z Przesmyka uważana za język pokaleczony, była czystym małoruskiem narzeczem, w które się wpłatało kilkadziesiąt służbowych zwrotów żołnierskich. Po polsku wyrażał się Capenko bardzo poprawnie, przeciągał tylko zbyt jedne dźwięki a zmiekczał drugie, zachowując akcenty rodzinne. Wychowany przy dworze polaka, dziedzica Łuby na Podolu, gdzie ojciec jego był pasiecznikiem, potem jako rekrut przewieziony do straży pogranicznej w Przesmyku, miał sposobność tak przyswoić sobie język polski, że nim zarówno chłopom wymyślał, jak i pannie ekonomównie grzeczności prawił. Ta ostatnia nawet otrzymała podobno od niego na imieniny powinszowanie, szczęśliwymi rymami złożone.

Sprawiedliwość przyznać każe, iż wszystkiemu temu, cośmy o naszym bohaterze na podstawie różnych źródeł powiedzieli, przeczył stanowczo niejaki Edward Tabor, handlarz zbożem, a jak mówiono, herszt kontrabandzistów w Przesmyku, który twierdził, że Capenko jest kałmukiem, że żadnego porządnego języka nie zna, że sobie do napisania owych rymów kogoś wynajął i że do panny Motylińskiej zaleca się dlatego tylko, ażeby od jej ojca dostać w podarku piękną ze srebrnym cybuszkiem fajkę. Zwracamy jednakże uwagę sumiennego czytelnika, że Tabor, który na pniu swego izraelskiego rodu zaszczerpił we własnej osobie aż trzy narodowościowe płonki: niemiecką, polską i rosyjską, sam żadnym językiem dobrze nie władał; że nadto jako konkurent do panny ekonomówny, a więc współzawodnik Capenki, musiał z tego względu w swych sądach o nim być stronny. Ściśle nawet biorąc, stronność ta ujawniała się jaskrawo.

Pewnego jesienno-go dnia Tabor, idąc nad granicą i ogarniając okiem położenie, jak gdyby badał pole zbliżającej się walki, spostrzegł państwa Motylińskich, zajętych w ogrodzie przy kopaniu kartofli. Stanął, poczekał aż każda z kopaczek głowę od motyki podniosła, wreszcie gdy ostatniej się przyjrzał, klasnął językiem, przymrużył maleńkie oczki, wywinął tłuste wargi i zsunawszy czapkę na tył kędzierzawej głowy, zwrócił się do domu. Wkrótce jednak wyszedł znowu i szybkim krokiem podążył w kierunku oficyn dworskich. Panna Hortensya Motylińska, dziewczica w ciału bogata, czerwonością pulchnej twarzy czarowna, a niegasnącym w oczach i ustach uśmiechem zwyciężająca, siedziała właśnie w swym gniazdku przy oknie, dziergając żółtą, włóczkową chusteczkę. Spostrzegłszy idącego Tabora, roześmiała się, wysunęła przeciw niemu urągliwie język i odbiegła od okna. Odbiegła po to tylko, ażeby się przejrzeć w zwierciadle i z bukietu astrów, stojącego w szklance na komodzie, wpiąć kilka kwiatów w cieniutkie, wypomadowane warkoczyki, które przez szerokość jej dużej głowy ledwie do siebie sięgnąć i w mały węzełek z tyłu zawiązać się mogły.

– Niema taty – rzekła z chmurką na czole, z której przeświecały promienie wesołej kokieterii.

– Po co nam tata? – odparł Tabor, wyjmując z pod palta i kładąc na stole sztuczkę perkaliku, którego brzeg zręcznie odwinął.

Widok wzorzystej materii – której barwy pięknie łączyły rumieniec twarzy, żółtość chusteczki i zieloność sukni panny Hortensyi – przykuł do siebie jej zdumione oczy. Wkrótce jednak opamiętała się i ogryzając paznokieć, rzekła:

– Pan ma to na sprzedaż?

– Ja na sprzedaż dla panna Hortensya nic nie mam, ale wszystko mam na darowanie.

– Nie potrzebuję, nie potrzebuję – wołała panna Hortensya, spoglądając ukradkiem na perkalik. Niech pan sobie zabierze.

– Panno, aniele, czy to ja nie wiem, że mogłabyś lepszą rzecz sobie kupić, ale czemu nie przyjąć ten drobiazg, kiedy ja z otwartym sercem daję?

Ujął ją za czerwoną rękę i oblizując wargi, wpatrywał się w tłustą jej talię z takim zachwytem, jak gdyby przyspieszony rytm jej skrzypiącego oddechu wszystko mu obiecywał.

– Panno, aniele...

Drgnął, uciął nagle, bo drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł Capenko.

– Idź pan do kaduka! – zawołała panna Hortensya, odręczając Tabora.

W jej słowach i geście wyczytał Capenko wyraźny dowód wierności, a domyśliwszy się, że trafił na scenę kuszenia, spytał gniewnie:

– Skąd ten perkal?

– Ze sklepu – odrzekł zuchwale Tabor.

– A gdzie plomba?

– Co plomba, czy to medal albo order, który nosić trzeba? Ja tego nie sprzedaję, tylko kupiłem, mnie plombę oderwać wolno.

– A mnie wolno zabrać – krzyczał Capenko – to kontrabanda!

– Co pan gwałt robisz, pańskie miejsce na granicy, pan nie masz rozkazu dom rewidować!

Capenko jednak nie dał się odstraszyć, porwał perkalik, chwycił Tabora za ramię, krzycząc:

– Pójdziemy do kapitana, do kapitana!

– Nie zje mnie, nie zje! – wrzeszczał, opierając się Tabor.

Ale panna Hortensya, której podczas tego szamotania uśmiech przygaśł i rumieńce pobladły, przerażona obawą odpowiedzialności a może i utratą podarku, przybiegła do Capenki.

– Panie Damianie, mój kochany, najdroższy panie Damianie, daj mu pokój, niech go tam kaczki zdepczą.

– Czy to on dla pani przyniósł?

– Nie chciałam – mówiła zawstydzona – a on koniecznie i koniecznie...

– No – rzekł Capenko – ja daruję, bo ta pani prosi; ale żebyś nie dawał jej rzeczy przemycanych, to ja ten perkalik od pana kupię. Masz rubla!

– Oj, oj, jaki pan – drwił Tabor – rubla za sztuczkę po 30 centów łokieć! Daj kopiejkę!

– Nie chcesz pan, to ja darmo mieć będę, a pan jeszcze karę zapłacisz.

– Weź pan, weź – namawiała panna Hortensya.

– Juści wezmę, bo co mam ze zbójem robić – rzekł rozgniewany Tabor i wyszedł.

Gdyby Capenko był przez okno dostrzegł, że jego przeciwnik udał się do kapitana, byłby w słodkich chwilach rozkosznego sam-na-sam z panną Hortensyą poczuł gorzką kroplę niepokoju. Ale on, uśmierzywszy gniew kilkoma przekleństwami, zatopił się w własnym wylewie miłości do panny Hortensyi, która, nie licząc innych względów, w zadowoleniu jej prośby i sztuczce perkaliku miała dość powodów do wynagrodzenia go obfitszą niż zwykle łaskawością.

Jakie zamiary narodziły się skrycie w głowie wzburzonego Tabora, z jego martwej, gęsto obrosłej twarzy odgadnąć było trudno. Przyszedłszy wszakże do kapitana, zażądał tylko kartki na przejście granicy.

– Wszystko to dobrze, mój panie Tabor – rzekł kapitan – ale mnie znowu donoszą, że pan najmujesz chłopów, którzy dla ciebie przemycają towary.

– Ja, ja, co czterdzieści lat **przeciwzakonnie** nie pomyślałem? Panie majorze – jestem chrześcian, żebym moje zbawienie nie doczekał, jeśli kto dowiedzie taki **feler** w moim charakterze. Czy to nie prowadzę handel, żebym się w kontrabandę bawił? Jak pan major mógł nawet dopuścić taki **donos**?

– No, ja teraz nic nie dopuszczam, ale ostrzegam, że jak złapię, będzie źle.

– Niech będzie źle, niech mnie pojma, niech zastrzela, niech prawo ze mną zrobi, co najbardziej zechce, ja spokojny. Ach, panie majorze, wiem, kto mnie prześladowe – Capenko, chociaż ja na niego dotąd nic nie powiedział.

– A cóżbyś pan mógł powiedzieć?

– No, nic, bo że pannie Motylińskiej dał dziś sztuczkę austriackiego perkaliku, nie wielka rzecz.

– Nie kłam pan, Capenko wierny żołnierz.

– Być może, ale i wierny kochanek.

– Ja słyszałem, że to pan koło Motylińskiej tańczysz.

– Tańczę koło jej ojca, żeby mi u dziedzica dzierżawę ogrodu przy kordonie odnowił.

– Na co panu ten ogród, jeśli ja krzaki przy nim wyciąć każe?

– Pan major znowu mnie przytyka. Czy ja graniczny złodziej; kto widział, żebym w tych krzakach co ukrył?

– No, może jeszcze zobaczymy.

– Niech pan major takie rzeczy nie gada, bo słuhać przykro. Nie ma pan co do Szczurowy – ja tam jadę.

– Nic.

– Ja kawy dla pani przywiozę.

Tabor oddalił się.

Przeszedłszy granicę, o kilka staj za nią spotkał leżącego przy drodze, znanego w okolicy Postułka. Był to jeden z najrzęczniejszych kontrabandzistów, zuch, który się chwalił, że jeszcze w życiu nie rozmawiał ze strażnikiem granicznym, nie mając przy sobie jakiegoś ukrytego towaru. Postułka nie dosięgnął jeszcze lat pięćdziesięciu, twarz jednak miał tak pofałdowaną zmarszczkami, jak gdyby cudzą, dla niego za dużą, nosił na sobie skórę. Pod wysokim, opalonym czołem migotały mu bystre i ruchliwe oczy, których źrenice co chwila gwałtownie się rozszerzały. Ujrzawszy Tabora, podniósł głowę, z której spadła żołnierska czapeczka austriacka, ziewnął głośno i otrzepując kapotę z piasku, spytał?

– No, cóż, *fertig*?

– Ani jutro – odrzekł Tabor.

– Czemu?

– Żaden nie chce. Kos powiada, że nie ma czasu, Kędzior że się boi, bo strażnicy go uważają.

– Zjedli po parę dyabłów, będę czekał, aż im pozwolą?

– Toć mówiłem.

– Niechby przynajmniej jeden z furmanką w lesie stanął, a to inaczej wszyscy się we wsi o tem płótnie dowiedzą. Przecież długo leżeć nie może.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.